

Pieski buffalito

Lawrence M. Schoen

tłumaczyła Agnieszka Solska

Tego, że zostanę aresztowany na parę dni przed planowanym powrotem na Ziemię moje plany nie przewidywały. Przez ostatnie trzy i pół tygodnia występowałem w lokalu „Pod Pieskiem”, znajdującym się w hali odlotów portu kosmicznego na Gibrachlu. Mój kontrakt przewidywał dwa seanse co wieczór i jedną popołudniówkę w soboty. Niedziele miałem wolne. Długość doby na Gibrachlu jest na tyle zbliżona do ziemskiej, że nie ma powodów do narzekań, ale tydzień trwa tam nie siedem dni, a osiem. Mój agent na Ziemi wpakował mnie w opłacany tygodniowo kontrakt, nie raczywszy zająć się kwestią tego dodatkowego dnia. Oznaczało to, że co *gibrela* zobowiązany byłem robić dwa seanse za friko: cała robota za nic.

Wielki afisz przy wejściu głosił: „NIESAMOWITY CONROY, MISTRZ HIPNOZY” i przyciągał wzrok oszałamiając różnorodnością barw. Przyciągał skutecznie. Ilość widzów zawsze była znośna, a często na sali miałem komplet. Miejsca takie jak Gibrachl zawsze są spragnione jakiegokolwiek rozrywki, a dobry artysta-hipnotyzer może skosić niezłą kasę.

Wszyscy Ziemianie na widowni przebywali na Gibrachlu z tego samego powodu. Każdy z nich zaangażowany był w taki czy inny sposób w handel pieškami buffalito. Były one jedynym naturalnym bogactwem Gibrachlu, jedynym towarem, który - bezpośrednio lub pośrednio - przyciągał tu ludzi. Planeta Gibrachl jest kolonią, ale nie naszą. Należy do Arkończyków, a ludzka obecność na niej ogranicza się do jednej bazy o powierzchni kilometra kwadratowego. Arkończycy wyznaczają reguły i jak długo mają coś, czym Ziemia jest zainteresowana, tak długo przestrzegamy tych reguł i zachowujemy się, jak na grzeczne ludziki przystało. Dlatego właśnie zostałem aresztowany.

Wcześniej tego dnia Arkończycy aresztowali kuriera zajmującego się przewozem piešków buffalito - za próbę przemytu. Ziemski konsul utrzymywał, że w papierach musiała zajść jakaś pomyłka, ale Arkończycy mają ograniczone zdolności telepatyczne i potrafią ustalić, czy ktoś mówi prawdę. Okazało się, że żadnej pomyłki nie było. Sprawiedliwość Arkończyków jest równie szybka, jak nieuchronna. Faceta osądzono, uznano winnym i stracono, zanim pierwszy z moich wieczornych seansów dobiegł końca.

Wszyscy chcieli się jakoś rozerwać, a jedyną rozrywką byłem ja. Na początek powiedziałem kilka kawałów, żeby trochę rozładować atmosferę i sprawić, by widzowie poczuli się dobrze. Na widok hipnotyzera, nawet na estradzie, wielu ludzi odczuwa niepokój, tak jakbym jednym uniesieniem brwi mógł sprawić, że mężczyźni odkryją przede mną swe

najbardziej mroczne tajemnice, a kobiety wpadną mi w ramiona. Sam bym tego chciał. Podobno wieki temu Anton Mesmer potrafił robić takie rzeczy. Prawdopodobnie miał po prostu lepszego agenta niż ja. Ja muszę zrobić odpowiednie wprowadzenie i potrzebuję dobrych pięciu minut względnego spokoju, nie wspominając już o samochodzie czekającym w gotowości, gdy numer nie wypali. Hipnotyczny szantaż i uwiedzenie świetnie wyglądają na filmach, ale w rzeczywistości o wiele bezpieczniej jest trzymać się scenariusza. Co nie znaczy, że nigdy nie zdarza mi się trochę poflirtować dla zabawy, po prostu nigdy nie robię tego podczas seansu. To, co dzieje się później, to zupełnie inna sprawa. Podczas przedstawienia zawsze tworzę w umysłach moich ochotników taką post-hipnotyczną furtkę; nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać. Nawet po tygodniu mogę wyszeptać wprowadzające w trans słowa i oto nagle znowu wpadasz w trans i stajesz się cudownie podatny na wszelkie sugestie. Co tu dużo mówić, kocham swoją pracę.

Tego wieczoru przy paru stolikach siedzieli Arkończycy, jak zresztą na wszystkich moich przedstawieniach. Pięćdziesiąt seansów i żaden z nich ani razu się nie roześmiał, ani razu nawet nie skrzywił się w uśmiechu. A potrafili się uśmiechać, byłem tego całkiem pewien. Arkończycy wyglądają jak wysocy, rozciągnięci na długość ludzie, zupełnie jakby wyszli z lustra w parku rozrywki. Barwa ich skóry oscyluje między różnymi odcieniami bieli - od koloru skorupki jajka po barwę surowego płótna, a owłosienie ich ciała jest zwykle granatowo czarne jak u złoczyńców z komiksu. Mają usta i wargi oraz zęby i, o ile mi wiadomo, używają ich do tych samych rzeczy, do których my ich używamy, nigdy jednak nie widziałem, żeby się uśmiechali. Nie chodzi o to, żeby im się nie podobały moje przedstawienia, po prostu ich nie rozumieli. To przez ten ich zmysł prawdy. Arkończycy zawsze wiedzą, czy ktoś mówi prawdę, czy też nie. Nigdy siebie nawzajem nie okłamują, po prostu nie są w stanie. Niby mała rzecz, ale jak się tak zastanowić nad historią ludzkości, trudno nie zauważyć, jak wszechobecne jest w niej oszustwo.

W arkońskim społeczeństwie prawie nie ma zbrodni. Oczywiście, zdarzają się zbrodnie popełnione w afekcie, ale zbrodnie z premedytacją tłumione są w zarodku. Przecież wystarczy, że w sądzie zapytają delikwenta, czy zawinił. Arkończykom nie znane było pojęcie kłamstwa, zanim nie zaczęli zadawać się z ludźmi. Jesteśmy dla nich fascynujący i totalnie dziwaczni. To trochę jak posiadanie wiedzy na temat zasad funkcjonowania skrzeli. Jest to miła, bezpieczna i obiektywna wiedza, która na pewno nie ma zastosowania do ciebie, ale jednocześnie otwiera ciekawe teoretyczne możliwości.

Całkiem sporo Arkończyków ceniło sobie możliwość zobaczenia, jak hipnotyzer sprawia, że ludzie wierzą w rzeczy w oczywisty sposób nieprawdziwe. Odkąd się zjawiłem, co wieczór tłumnie przybywali do zamieszkałej przez Ziemiaków dzielnicy, aby obejrzeć mój show. Przez dwa pierwsze wieczory brałem kilku na scenę na ochotnika. Reagowali zupełnie tak jak ludzie. Nie miałem żadnych trudności ze zmuszeniem ich do gđakania jak kury, ale nie byli w stanie zaakceptować żadnej sugestii, która gwałciłaby ich poczucie obiektywnej rzeczywistości. Nie byli w stanie uwierzyć, że rzeczywiście stali się kurami. Kompletny brak wyobraźni, żadnego polotu. W rezultacie na scenie byli nudni i przestałem ich brać jako ochotników.

Przez ostatni tydzień występów robiłem to, co zwykle. Dziesięć minut po rozpoczęciu przedstawienia oprócz mnie na scenie były dwie młode sekretarki, starszawy pracownik

działu pożyczek w banku oraz pracująca jako ochroniarz kobieta w średnim wieku. Wszyscy pogrążeni byli w głębokim transie. Powiedziałem sekretarkom, że są arkońskimi dyplomatami i kazałem im wyjaśnić arkoński plan oświecenia ludzkości. Oczywiście, taki plan nie istnieje, ale żadna z sekretarek-dyplomatów tego nie wiedziała i dziewczyny całkiem szczerze i ze szczegółami przedstawiały najrozmaitsze wymyślone głupoty, podczas gdy ludzka część publiczności pohukiwała i śmiała się.

Sekretarki zakończyły swoją prezentację i otrzymały burzliwe oklaski od ludzi na widowni. Podziękowałem im i odprowadziłem do ustawionych na scenie krzeseł, które - jak je wcześniej zapewniłem - stanowiły część luksusowego wyposażenia ambasady arkońskiej na Ziemi. Wprowadziłem je ponownie w głęboki trans. Świetnie się spisały, były zdumiewająco oryginalne i pomysłowe i publiczność wstrzymała oddech w oczekiwaniu na to, co jeszcze nastąpi. Obróciłem się w stronę pani ochroniarz, puściłem w stronę publiczności oko i wyszczerzyłem do niej zęby u uśmiechu, po czym zacząłem kobiecie podawać instrukcje.

- „Toffiki Melpomena” - wyszeptałem jej do ucha hasło, jakie wpołem jej na początku spektaklu. Jej postawa uległa zmianie; nie tyle jej ruchy, co układ jej ciała. Chociaż całkowicie odprężona, kobieta była teraz czujna niemal do bólu. Odwróciłem się w stronę publiczności i wykonałem ręką zagarniający gest, jakby zapraszając widzów do zabawy.

- Jesteś rodowitą mieszkanką Gibraltaru - powiedziałem scenicznym głosem, pełnym rezonujących głęboko miękkich tonów. - Jesteś inteligentna i elokwentna. Jesteś wykształcona i masz nienaganne maniery.

Pani ochroniarz wyprostowała się na krześle. Jej twarz emanowała spokojem i pewnością siebie; oczy ciągle miała zamknięte.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, żebyś nam powiedziała coś o Gibraltaru na podstawie własnych unikalnych doświadczeń. Zgadzasz się?

Skinęła głową, zwilżyła językiem wargi i dała znak lekko uniesioną ręką.

- Świetnie. Zaczynasz, kiedy policzę do trzech - powiedziałem. - Aha, i jeszcze jedno. Nie jesteś człowiekiem, jesteś pieskiem buffalito. Jeden ... dwa ...

- STOP! - siedzący przy stoliku w głębi sali Arkończyk skoczył na równe nogi. Poznałem go. Był stałym gościem. Odkąd przyjechałem, przychodził codziennie na przynajmniej jeden z moich spektakli. Zawsze siedział przy tym samym stoliku, zawsze oglądał show z napiętą uwagą. Raz go nawet wzięłem na scenę jako ochotnika i - jak na Arkończyka - okazał się całkiem dobrym materiałem. Nazywał się Loyoka i teraz stał, celując we mnie broń. Większość widzów śmiała się przekonana, że to część przedstawienia. Ja wiedziałem, że to nie żarty.

- Wszystkie osoby na scenie są aresztowane - kontynuował. - Nie ruszać się. Proszę robić, co każę, a nikomu nic się nie stanie.

Loyoka wszedł na scenę. Dzięki swoim bardzo długim nogom bez trudu, jednym krokiem, wspiął się na podwyższenie. Znieruchomiałem, jak tylko dostrzegłem błysk laserowego celownika. Zbliżył się do pani ochroniarz i przykucnął, zniżając głowę do poziomu jej głowy. Zapytał:

- Czy jest pani pieskiem buffalito?

Fala śmiechu przebiegła przez widownię. Większość widzów ciągle myślała, że Arkończyk jest częścią przedstawienia. Kobieta nie odpowiedziała na jego pytanie. Nie była w stanie odpowiedzieć. Jedyнным głosem, jaki mogła usłyszeć w tej chwili, był mój głos. Loyoka całkiem szybko się tego domyślił i zwrócił się w moją stronę.

- Dlaczego ona nie mówi? Z tego, co pan mówił wynikało, że potrafi mówić.

- Nie skończyłem liczyć - powiedziałem. - Nie wykona polecenia, dopóki tego nie zrobię.

- Trzy! - powiedział Arkończyk ze wzrokiem utkwionym w kobiecie. Nic się nie wydarzyło. Parę osób na widowni zachichotało.

- Niech powie to pan - powiedział do mnie nie odwracając głowy.

- Trzy - powiedziałem szeptem, na co pani ochroniarz otworzyła oczy, pogodnie uśmiechnęła się i kiwnęła głową prosto w oddaloną o parę centymetrów od jej własnej twarz Arkończyka.

- Czy jest pani pieskiem buffalito?

- O tak, jestem - potwierdziła. - Urodziłam się tutaj na planecie Gibrahl, i szczerze mówiąc, nie miałam tu lekko. To dziw, że jeszcze tu jestem. Widziałam, jak wszystkie szczeniaki z mojego miotu i wszyscy moi koledzy z dzieciństwa zostali wysłani na inne planety przez was, Arkończyków. Oburzające, wprost oburzające.

I dalej gadała w tym stylu, na oczekaniu wymyślając całą historyjkę na temat swego życia jako obcej istoty o mózgu nie większym niż orzech. W miarę jak Arkończyk słuchał, szczeka opadała mu coraz niżej, gdyż jego zmysł telepatyczny zapewniał go, że kobieta wierzy w każde swoje słowo, że mimo pozorów naprawdę *jest* pieskiem buffalito.

Dziesięć minut później siedziałem w arkońskim areszcie. O ile mogłem się zorientować, moi czterej ochotnicy, po wyprowadzeniu z transu, także zostali zatrzymani przez władze. Moją poza-systemową wizę skonfiskowano. Lokal „Pod Pieskiem” został zamknięty do czasu zakończenia śledztwa. Jego kierownictwo wystosowało formalną skargę do mojego agenta i złożyło pozew przeciwko związkowi zawodowemu międzygwiazdnych wykonawców scenicznych. Jeśli chodzi o wykluczenie kogoś z gry, to nie ma to jak show biznes. Nawet zakładając, że wydostanę się jakoś z moich obecnych tarapatów, miałem wiele wątpliwości, czy będę w stanie znaleźć pracę poza Ziemią. Było to jednak najmniejsze z moich zmartwień, przynajmniej w tej chwili.

Upłynęło kilka godzin. Przez pierwsze z nich na okrągło odtwarzałem w myślach swój seans, starając się dociec, co takiego mogło rozwścieczyć Arkończyków. Nie przychodziło mi do głowy zupełnie nic. Parę razy zapadłem w drzemkę, z której ostatecznie wyrwało mnie otwarcie drzwi do celi i wejście Loyoka w towarzystwie dwóch innych Arkończyków. Każdy z nich taszczył ze sobą stółek na krótkich nóżkach. Przycupnęli na nich, trzymając stopy płasko na podłodze; długie nogi zgięli podciągając kolana na wysokość ramion. Kiedy usiadłem na pryczy, ich oczy znalazły się na wysokości moich oczu. Cała trójka wpatrywała się we mnie intensywnie.

- Proszę nam powiedzieć... kłamstwo - powiedział ten siedzący po mojej prawej stronie.

- Kłamstwo? - zapytałem. Prześlizgnąłem wzrokiem kolejno po ich surowych twarzach. Ich oczy wyglądały zupełnie jak ludzkie, co wcale mnie nie uspokajało.

- Tak, panie Conroy. Proszę nam powiedzieć coś, w co pan nie wierzy. Proszę to zrobić teraz - powiedział.

W głowie miałem pustkę. Byłem w stanie myśleć jedynie o przerwaniu przedstawieniu.

- Jestem arkońskim dyplomatą - powiedziałem. - Mam plan oświecenia ludzkości.

Słyszając to, dwóch nowych zmarszczyło brwi. Loyoka rozpoznał kwestię z dzisiejszego seansu i kąciki jego ust nieznacznie powędrowały w górę. Potrafili się uśmiechać!

- Pan kłamie - powiedział ten z lewej, marszcząc brwi jeszcze bardziej.

- Kazał mi pan kłamać - wzruszyłem ramionami.

- Tak, i wiemy, że pan kłamie. W czasie przedstawienia kazał pan innym ludziom robić różne rzeczy. Te rzeczy nie były kłamstwami.

Pokręciłem głową.

- Przepraszam. Nie chcę niczego utrudniać, ale naprawdę nie rozumiem, o co wam chodzi.

- Czy jest pan przemysłowcem, panie Conroy? - zapytał Loyoka.

- Kim?

- Czy zajmuje się pan przemysłem pieków buffalito? Proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

- Nie! - powiedziałem czując narastający strach.

- Ale pan zmienił tę kobietę,.... - Loyoka zerknął na ekran małego przenośnego komputera typu *palmpadd* - Carlę Espinozę, w pieska buffalito. To się stało naprawdę.

Widziałem to w jej myślach.

- Ależ ona nie stała się naprawdę pieskiem buffalito! - roześmiałem się. To wyglądało na jakiś żart. Przerwałem. Byli śmiertelnie poważni.

- Stała się. Sam to widziałem. Stała się pieskiem buffalito, pieskiem buffalito bez licencji, panie Conroy - zmarszczył czoło upodobniając się do pozostałych. - Czy pan rozumie o jak poważne przestępstwo chodzi? Zarzuca się panu próbę wywiezienia skradzionego i zdolnego do rozrodu pieska buffalito na Ziemię.

Zawirowało mi w głowie. Pieski buffalito stanowiły jedną z nielicznych rodzimych form życia na Gibraltarze i w całym znanym świecie nie było równie niezwykłych istot. Były to prześliczne stworzenia, z wyglądu zdumiewająco podobne do amerykańskiego bizona w skali jeden do pięćdziesiąt. Miały miłe kudłate główki i małe niebieskie języczki, które wystawały im z mordek, gdy beczały. Służył im każdy, dosłownie każdy rodzaj pokarmu. Ich najbardziej zadziwiającą cechą stanowiło to, że puszczać gazy wydalały z siebie ogromne ilości czystego dwuatomowego tlenu, dzięki czemu były niewiarygodnie przydatne dla speców od terraformingu, nie wspominając już o tym, jak bardzo pomagały rozwiązywać problemy związane z rekultywacją składowisk odpadów toksycznych na Ziemi. Co wieczór przynajmniej jedną czwartą mojej widowni w lokalu „Pod Pieskiem” stanowili kurierzy szykujący się do powrotu na Ziemię następnym statkiem; każdy pod jedną pachą trzymał cienką teczkę z licencjami transferowymi, a pod drugą - pieska buffalito. Arkończycy kontrolowali jedyne źródło tych zwierząt i eksportowali je, wysterylizowane, zarabiając na sztuce dziesięć milionów jednostek kredytowych. Przy takich cenach przemysł małych zwierząt stał się bardzo atrakcyjny i doszło do kradzieży kilku wysterylizowanych szceniąt. Nic dziwnego, że arkoński rząd zareagował z całą surowością. Nawet podejrzenie o powiązania z czarnorynkowym handlem pieskami mogło zakończyć się wyrokiem śmierci. Tkwiłem w kłopotach po uszy.

- Ależ ona nie stała się pieskiem buffalito! - zaprotestowałem, niemal wstając z pryczy. - Nie była nim, nie fizycznie.

Loyoka położył mi dłoń na ramieniu, zmuszając mnie bym usiadł.

- Wiem, co widziałem w jej umyśle. Ona *była* pieskiem buffalito. Na planecie Gibraltar człowiek, w którego posiadaniu znajduje się piesek buffalito, jest albo przemytnikiem albo kurierem. Widzę prawdę w pana umyśle. Nie jest pan przemytnikiem.

Przerwał i popatrzył na każdego z siedzących obok towarzyszy. Bezgłośnie coś ustalili między sobą, po czym wszyscy trzej wstali.

- Bardzo nas to wszystko niepokoi, panie Conroy. Traktujemy poważnie nawet podejrzenie o popełnienie przestępstwa. Podczas, gdy pan tu czekał, dokładnie sprawdziliśmy wszystkie zarejestrowane stacje. Żadna nie zgłosiła zniknięcia inwentarza, nie jest pan oskarżony o kradzież. Nie wszczęto przeciwko panu postępowania i nie uznano pana winnym stawianych panu zarzutów jedynie dlatego, że Carla Espinoza jest bezpłodna.

Sytuacja stawała się coraz dziwniejsza.

- Skąd o tym wiecie? - zapytałem.

Loyoka ledwie na mnie spojrział.

- Poddaliśmy ją szczegółowym badaniom. Człowiek, w którego posiadaniu znajduje się zdolny do rozrodu piesek buffalito, jest automatycznie winien czynu podlegającego karze śmierci. Jednakże - jak powiedziałem - Carla Espinoza nie jest w stanie zająć w ciążę. Bezpłodne pieski buffalito mogą być przewożone przez licencjonowanych kurierów. Tak więc pozostaje tylko załatwić formalności. Oznakowaliśmy już Carlę Espinozę i wystawiliśmy dokumenty niezbędne do wydania panu licencji.

Jeden z pozostałych Arkończyków podał mi *palmpadd* i rysik. Spojrzałem na dokument i podpisałem go. Większą część środków, jakie zarobiłem na Gibraltarze, odprowadzili z mojego konta, aby pokryć koszty mojej licencji, a na przyszłe moje dochody nałożyli blokadę na podwójną wartość przelanej już kwoty. Byłem teraz autoryzowanym kurierem.

- Gratuluję, panie Conroy. Nabył pan pieska buffalito nie uściwszy zwyczajowej kwoty dziesięciu milionów kredytów.

W jego głosie nie było cienia sarkazmu. Mówił szczerze.

- Ale ona teraz nie jest pieskiem buffalito, prawda? - powiedziałem. - Wyszła z transu, wie kim jest.

Wszyscy trzej Arkończycy zmarszczyli czoła i poruszyli się niespokojnie. Pozostali dwaj wyszli, zabierając ze sobą stołki i pozostawiając Loyoce zadanie pożegnania mnie.

- Przyznaję, że jest wiele spraw związanych z waszymi umiejętnościami, których nie rozumiemy - powiedział. - Chociaż jest dla mnie jasne, że dziś wieczorem pana medium wiedziało, że jest pieskiem buffalito, jest dla mnie równie jasne, że pod pewnymi względami nim nie była. To dla nas nowe obszary, panie Conroy. Będziemy pana uważnie obserwować przez resztę pana pobytu. Radzę, aby pan uważał.

- Może pan teraz odejść - powiedział, przytrzymując ręką drzwi. - Proszę zwrócić się do urzędnika w holu głównym. Zwróci panu wizę i wyda panu licencje. Będzie mógł pan tam także odebrać Carlę Espinozę.

Wskazał, że mam iść na prawo. Sam poszedł w lewo i zniknął za zakrętem korytarza.

Carla Espinoza siedziała w holu na jednym z połączonych ze sobą w rząd krzeseł. Była nieco blada, ale poza tym wydawało się, że nic jej się nie stało. Z jej lewego ucha zwisał dwucentymetrowy krążek plastyku w jaskrawo czerwonym kolorze - znaczek identyfikacyjny oznaczający, że Carla gotowa jest do transportu. Gdy dostrzegła, że się zbliżam, gniew malujący się na jej twarzy skoncentrował się na mnie. Zacząłem ją przeproszać, jak tylko byłem na tyle blisko, by mogła mnie usłyszeć.

- Proszę pani, Carlo, bardzo przepraszam. Jest mi okropnie przykro. Nie miałem pojęcia, że coś takiego się zdarzy. Proszę mi wierzyć.

Wstała z krzesła piorunując mnie wzrokiem. Była ode mnie o głowę niższa i o dwadzieścia lat starsza. Nie miałem wątpliwości, że większość tego czasu spędziła pracując jako ochroniarz w różnych miejscach. Miała jakieś dwadzieścia kilo żywej wagi więcej niż ja - dwadzieścia kilo samych mięśni. Wyraz jej oczu dobitnie mówił, że była w stanie stłuc mnie na kwaśne jabłko bez zmrużenia okiem.

Podniosła rękę i pociągnęła za płatek ucha i za znaczek. Odpięła go i rzuciła go we mnie.

- Gdybyśmy byli na Ziemi, pozwalałabym pana o odszkodowanie. Musiałby mi się pan spłacać przez następne trzy pokolenia - powiedziała. - Ma pan szczęście, że Arkończycy nie zgadzają się na obecność prawników.

Złapałem znaczek i włożyłem go do kieszeni. Stanowił kosztowną pamiątkę. Następnie podałem jej mój bankowy chip kredytowy.

- Nie zostało na nim zbyt wiele, ale proszę sobie to wziąć. Zabrali większość środków, które miałem, na pokrycie kosztów licencji.

- Kosztów licencji? - powiedziała.

Uśmiechnąłem się blado.

- Uznali, że skoro jestem w posiadaniu pieska buffalito, a nie jestem przemytnikiem, to rzecz jasna, muszę być kurierem i związku z tym obciążyli mnie stosownymi kosztami.

W tym momencie jej gniew stopniał i roześmiała się. Była na Gibrachlu wystarczająco długo, żeby wiedzieć, jak drogo kosztuje uzyskanie licencji kuriera. Wydawało się, że ją to zadowoliło. Włożyła mój chip kredytowy do kieszeni.

- Opuść panu - powiedziała - pod warunkiem, że już pana nie zobaczę. W przeciwnym wypadku wyrwę w pana ciele kolejną dziurę. Będzie tak bolało, że zapagnie pan udać się na spacer w próżni. Jasne?

Skinąłem głową starając się nie wzdrygnąć. Zmierzyła mnie jeszcze raz wzrokiem z dołu do góry i wypadła z budynku jak burza. Urzędnik siedzący za biurkiem w głębi holu obserwował całą tę scenę w milczeniu. Nawet jak na Arkończyka wyglądał bardzo blado. Właściwie trudno się dziwić. Słyszał przecież każde słowo i wiedział, że mówiliśmy samą prawdę. Odebrałem swoje legitymacje i wyszedłem.

Anemiczne słońce Gibrachlu stało wysoko na niebie, co wskazywało, że dochodzi południe. Do zrobienia nie miałem nic, przy duszy ani grosza, a do odlotu mojego statku na Ziemię był cały dzień. Zacząłem iść w stronę portu kosmicznego w nadziei, że w zamian za kilka hipnotyzerskich sztuczek salonowych uda mi się wyłudzić od kogoś posiłek i darmowe miejsce w kącie kabiny, kiedy to mężczyzna w nieprzyzwoicie nowym garniturze zrównał ze

mną krok. Początkowo pomyślałem, że kierownik lokalu „Pod Pieskiem” postanowił dobrać mi się do skóry, ale facet był zbyt drobny, żeby być wynajętym zbirem. Był też zbyt lalusiowaty - taki pochodzący z zamożnej rodziny, uładzony facecik o nienaganych manierach, który zapewne zdobył tytuł magistra zarządzania, ukończywszy kurs internetowy na jakiejś prestiżowej uczelni. Nie jestem jakimś twardzielem, ale w porównaniu ze mną był chuderlakiem.

Po krótkiej chwili przypomniałem go sobie z przedstawienia. Zahipnotyzowałem go. Gość na wysokim stanowisku, pośrednik w przekazywaniu piešków buffalito ziemskim firmom. Razem z innymi gośćmi w garniturach oraz ich potencjalnymi klientami był „Pod Pieskiem” na moim pierwszym przedstawieniu. Zahipnotyzowałem połowę ludzi siedzących przy ich stoliku. Klienci świetnie się bawili i facet w dowód wdzięczności postarał się o hojny napiwek. Nawet małe procent z zysków w handlu gibralskimi pieškami buffalito przekładał się na wielką kasę. Faceta stać było na wielkie napiwki i nowe garnitury.

- Panie Conroy - powiedział rozdawacz napiwków. - Przepraszam, że kontaktuję się z panem w tak nieoficjalny sposób, ale bardzo zależy mi na rozmowie z panem. Mam pewną propozycję.

Jak już ci się wydaje, że nie może być gorzej, pojawiają się naganiacze firm kurierskich. Cudownie.

- Przepraszam, ale jestem zmęczony i głodny, i naprawdę nie jestem w nastroju do kupowania czegokolwiek - powiedziałem.

Nie dał się zbyć.

- Panie Conroy, nazywam się Jensen. Proszę mnie wysłuchać. Może znajdziemy jakiś miły wygodny stolik w „Na Prerii”. Oczywiście, ja płacę. Zje pan porządny posiłek, odpocznie, a jeśli po wysłuchaniu mojej propozycji nadal nie będzie pan zainteresowany, dam panu spokój.

To mnie zatrzymało. Restauracja „Na Prerii” była jedynym pięciogwiazdkowym lokalem na Gibralsku, co czyniło ją o dwie gwiazdki lepszą od każdej innej knajpy w mieście o średnicy jednego kilometra. Na samą przystawkę człowiek musiałby tam wyłożyć tygodniową pensję. Zarzuciłem mojemu rozmówcy ramię na plecy i zdobyłem się na słaby uśmiech.

- Panie Jensen, skoro stawia mi pan lunch, zamieniam się w słuch.

Wyraźnie odczuł ulgę. Zaprowadził mnie do „Na Prerii”, gdzie szef sali znalazł dla mnie stosowną marynarkę i w krótkim czasie siedziałem przy eleganckim stoliku delektując się *amuse-gueule* ze zwiniętych w różki płatków ziemniaczanych przełożonych warstwą śmietanki, łososia i kawioru oraz popijając wino delikatne jak marzenie. Choć moje troski gdzieś się ulotniły, obserwowałem swojego gospodarza z nieufnością. Za moment miałem się dowiedzieć, czego ode mnie chce.

Tak jak obiecał, zanim zaczął swoją gadkę, dał mi odpocząć. Zjadłem sporą część pierwszego dania - cętkowanego groszku garniowanego nerkówką z antylopy, grzybami i owocami leśnymi - gdy sięgnął do wewnętrznej kieszonki marynarki i wyjął z niej *palmpadd*.

- Panie Conroy, powiem wprost. Moi przełożeni z Konsorcjum Wada wiedzą o pana niedawnych kłopotach i o sytuacji, w której znalazł się pan z przyczyn przez siebie niezawinionych. Jeśli nam pan pozwoli, chcielibyśmy panu pomóc. Pragniemy pana zatrudnić.

Omam nie zakrztusiłem się winem. Odstawiłem kieliszek i wytarłem usta serwetką.

- Potrzebny wam hipnotyzer? - zapytałem.

- Nie, proszę pana, potrzebny nam kurier. Zgodnie z ustaleniami korporacja, którą reprezentujemy, ma na odlatującym jutro statku zabrać z Gibraltaru trzydzieści dwa pieski buffalito. Wszystkie z nich znalazły już nabywców, a my gwarantujemy ich dostawę. Arkoński rząd zezwala, aby jeden kurier przewoził tylko jednego pieska, a my w chwili obecnej mamy do dyspozycji tylko trzydzieści jeden kurierów.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem

- Więc dlaczego zaplanowaliście transport trzydziestu dwu buffalików? - włożyłem do ust następny kęs nerkówki.

Jensen westchnął.

- Ponieważ aż do wczorajszego popołudnia mieliśmy trzydziestu dwu kurierów, panie Conroy.

Przypomniało mi się, że egzekucja przemytnika miała miejsce mniej więcej właśnie wtedy. Odłożyłem widelec. Mój apetyt zniknął. Dla kogoś na Ziemi ten trzydziesty drugi szczeniak wart był dziesięć milionów kredytów, a kara za niedostarczenie go będzie kosztować firmę Jensa przynajmniej połowę tej kwoty.

- Jestem hipnotyzerem. Nie znam się zbytnio na pieskach buffalito ani na pracy kuriera - powiedziałem.

- Nie wymaga to jakiejś specjalnej wiedzy, panie Conroy. Pieski buffalito wymagają minimalnej opieki. Praca kuriera ogranicza się do wniesienia pieska na statek i pozostawiania z nim w kabinie. Podczas podróży na Ziemię trzeba tylko kontrolować atmosferę w kabinie, aby nie dopuścić do nadmiernego nagromadzenia tlenu. Po powrocie wynosi pan pieska ze statku. Jestem pewien, że ma pan do tego wystarczające umiejętności.

- Dlaczego nie załatwicie licencji komuś innemu? - zapytałem.

- Procedura uzyskania licencji trwa pięć lat, panie Conroy. Szczerze mówiąc, zdumieni

jesteśmy, że pan ją otrzymał, ale tego nie kwestionujemy. Tak czy inaczej, Arkończycy uważają pana za kuriera, a tylko z nimi musimy się liczyć, żeby przetransportować pieska na Ziemię

Przesunął po stole swój *palmpadd*. Z ekranu połyskiwał do mnie mój kontrakt.

- Jestem gotów ofiarować panu wynagrodzenie w wysokości stu tysięcy kredytów w zamian za pańskie usługi jako kuriera.

Była to bardzo duża kwota, zwłaszcza że byłem splukany i wkrótce miałem się znaleźć na czarnej liście. Mimo to...

- Czy tyle wynosi standardowe wynagrodzenie kuriera?

Potwierdził skinieniem głowy. Udałem, że czytam kontrakt, usilnie starając się przypomnieć sobie moje pierwsze przedstawienie na Gibrachlu. Spojrzałem na nerkówkę na moim talerzu i przypomniało mi się. Pikantny smakołyk egipski. Pochyliłem się do przodu i szepnąłem:

- „Ozyrys Jalape–o”.

Jensen obsunął się bezwładnie w krzesło, z zamkniętymi oczami. Sięgnąłem do jego marynarki i znalazłem portfel. Przeszukałem jego zawartość; w legitymacji służbowej sprawdziłem, jak Jensena ma na imię, a w jego bankowych chipach - stan jego służbowego i prywatnego konta. Ken miał do dyspozycji sporą ilość jednostek kredytowych.

- Słyszysz mnie, Ken?

- Tak.

- To dobrze. Jesteśmy bardzo dobrymi przyjaciółmi, prawda? Mówimy sobie wszystko. Nie mamy przed sobą sekretów. Absolutnie żadnych sekretów, Ken. Rozumiesz mnie?

- Tak - mruknął.

- Powiedz mi, ile wynosi standardowe honorarium kuriera? Faceta, który na zlecenie twojej firmy przewozi pieska buffalito z Gibrachlu na Ziemię?

- Pięćset tysięcy kredytów - powiedział. Zupełnie się nie zawahał.

- A ty, Ken, zaproponowałeś mi tylko jedną piątą tej kwoty. Czy tak się traktuje przyjaciela? Dlaczego tak postąpiłeś?

Jensen wzruszył ramionami. Pomimo zamkniętych oczu wyglądał na zawstydzonego.

- Uznaliśmy, że się na tym nie znasz i że jesteś w takim dołku, że z ochotą zgodzisz się na sto tysięcy.

- Zapewne mieliście rację, Ken. Los mi dziś nie sprzyjał, ale sytuacja zmienia się na lepsze. Kiedy policzę do trzech, zmienisz zdanie, Ken. Uznasz, że tak naprawdę nie chcesz mnie okantować w taki sposób. Wiesz przecież, że ratuję twoją skórę i zmienisz zapis w kontrakcie na całe pięćset tysięcy. Dodatkowo dorzucisz do tego jeszcze swój chip kredytowy, żebym miał nieco gotówki do wykorzystania przed odlotem. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem.

Odłożyłem jego portfel na swoje miejsce, wyprostowałem się i policzyłem do trzech. Ken Jensen gwałtownie zamrugał oczami i usiadł prosto, zachowując się jak człowiek, który zapadł w krótką drzemkę i który rozgląda się, aby się upewnić, czy nikt tego nie zauważył. Skierowałem wzrok w dół na *palmpadd*, i udając, że studiuje kontrakt, potrząsałem głową.

- No, nie wiem...

- Niech pan pozwoli - powiedział. - Myślę, że mogę osłodzić naszą umowę. Ratuje nas pan z opresji, więc dlaczego nie mielibyśmy zmienić wysokości honorarium - powiedzmy - na pięćset tysięcy?

Naniósł zmiany do kontraktu i przesunął *palmpadd* ponownie w moją stronę. Na wierzchu położył swój firmowy chip kredytowy.

- Panie Jensen, zdobył pan kuriera.

Popatrzył na mnie poprzez stół wzrokiem pełnym ulgi i zadowolenia. Bardzo się starałem, aby na mojej twarzy nie dostrzegł takich samych uczuć.

Zanim Jensen odszedł zostawiając mnie, abym delektował się posiłkiem, przedstawił mi swój plan. Miałem okazać swoją licencję w dowolnej arkońskiej stacji transferowej, i wybrać tam pieska według swojego uznania. Przed wejściem na pokład statku, który zawiezie mnie do domu, ponownie okażę legitymację arkońskiemu celnikowi i odpowiem na jego pytania. A potem, jak tylko dotrę na Ziemię, otrzymam pięćset tysięcy kredytów.

Muszę wyznać, że nie spieszyłem się ze skończeniem pozostałych dań. Może nie jestem wielkim smakoszem, ale wiem, że potrzeba czasu, ale właściwie docenić posiłek. Jensen zapłacił rachunek, zanim wyszedł, a ja użyłem jego firmowego chipu, aby dorzucić co nieco do napiwku. Mój nowy zawód mnie przyzywał. Zaczynałem oto karierę kuriera.

Nie miało dla mnie znaczenia, skąd wezmę pieska buffalito, chociaż większość kurierów ma rozmaite przesady na ten temat. Mój statek odlatywał o pierwszej w nocy, miałem więc do zabicia prawie dziesięć godzin. Bez pośpiechu postanowiłem po świetnym posiłku udać się na spacer. Przechodniów było niewiele. Minąłem kilku innych kurierów, łatwych do było rozpoznania dzięki pieskom, jakie każdy z nich niósł wygodnie pod ramieniem. Na koniec dotarłem do ośrodka najbardziej oddalonego od komory celnej w porcie kosmicznym. Zatrzymałem się przed budką przy wejściu, a niski Arkończyk spojrział na mnie z okienka, wyraźnie znudzony.

- Jest pan kurierem? - zapytał ledwie na mnie patrząc.

- No pewnie - odpowiedziałem, a on machnięciem ręki skierował mnie do środka. To, że mówię prawdę, było dla niego jasne jak słońce.

Kilka stopni prowadziło w dół do miejsca, gdzie trzymano pieski i gdzie królował totalny chaos. Tysiące beczących, szczekających, biegających truchcikiem tam i z powrotem piesków wypełniało płytkie wgłębienie wielkości olimpijskiego basenu kąpielowego. Holograficzne napisy ostrzegały przed niebezpieczeństwem pożaru, słychać było szum pracujących bez przerwy wentylatorów. Buffaliki baraszkowały wesoło; nie były w stanie wyjść z głębokiego na ponad pół metra wgłębienia, w którym się znajdowały, choć mogły widzieć, co się dzieje wokół. Chętnie podchodziły do każdego, kto zbliżył się do brzegu, czy to człowieka, czy Arkończyka. Ludzie, a było ich kilkunastu, byli kurierami. Patrzyłem, jak sięgali do zagrody i podnosili jedno stworzenie za drugim. Proces selekcji zdawał się polegać na zważeniu pieska buffalito w ręce, wetknięciu go najpierw pod jedno ramię, potem pod drugie, zajrzeniu mu w oczy i sprawdzeniu, jaki odcień ma jego niebieski język. Rytuał pełen przesądów, jednak sumiennie przestrzegany. W końcu każdy kurier wybierał pieska i zanosił go do Arkończyka, który akurat nie był zajęty, celem dopełnienia formalności.

Po obejrzeniu kilku odmian tej procedury, zrobiłem to samo. Pełne entuzjastyzmu szczenię dostrzegło, jak podchodzę do brzegu zagrody, i przedostało się poprzez znajdujące się bliżej szczeniaki, robiąc wszystko, żeby się do mnie dostać. Podniosłem je. Milutkie. Naprawdę śliczne, ale kosztując pięćset tysięcy kredytów, mogłoby być brzydkie jak grzech, a i tak wykonałbym swoje zadanie.

- No chodź, kochanie ty moje - powiedziałem, mimo woli mówiąc do niego jak do dzidziusia. Wypierdziało nieco tlenu, drugą stroną swojego ciała zabczało do mnie i pokazało swój maleńki języczek. Błękitny. Najzupełniej mi to odpowiadało. Rozejrzałem się, aby ustalić, kto z obsługi jest wolny, znalazłem jedną Arkonkę i podszedłem do niej.

- Jest pan kurierem? - zapytała tonem nieco tylko mniej znudzonym niż facet przy drzwiach.

- Tak - powiedziałem. - Niesamowity Conroy, Mistrz Kurierów, do usług.

Wcale jej to nie rozbawiło.

- A to jest piesek buffalito, którego pan wybrał?

- Jak najbardziej - powiedziałem. - Czy mam wybrać dla niego imię?

Wzruszyła ramionami:

- Taki jest zwyczaj, proszę pana. Jak tylko ustalę, że jest zwierzę jest zdrowe i podam mu środek sterylizujący, przygotowuję dla niego znaczek identyfikacyjny.

Wzięła ode mnie pieska i wetknęła skaner medyczny głęboko w futerko.

- W takim razie nazwę ją Regina - Regina Catherine Alyosious Nantucket Bitter Almonds St. Croix. Jak pani myśli, trochę przydługie?

A co tam, byłem na najlepszej drodze, aby się stać pół-milionerem, byłem najedzony i w świetnym humorze. Arkonka zmarszczyła brwi.

- Doradzałabym imię o bardziej męskim brzmieniu, proszę pana. Wybrał pan samca. Jest całkowicie zdrowy, ale jeśli woli pan samiczkę, może go pan odłożyć i przynieść inne zwierzę do weryfikacji i sterylizacji.

Wzruszyłem ramionami.

- Czymże jest imię? Nie, ten jest w porządku. Po prostu nazwę go Reggie. Proszę go wysterylizować i oznakować.

Pokręciła głową.

- Z przyjemnością go oznakuję, ale sterylizacji poddawane są tylko samice piesków buffalito.

Oddała mi pieska.

- Proszę przejść tutaj. Przygotuję znaczek identyfikacyjny Reggie'go.

Pięć minut później wyszedłem niosąc Reggie'go pod lewą pachą. Z jego lewego ucha dyndał krążek niebieskiego plastyku. Cały proces trwał zaledwie kwadrans. Spacer z powrotem do portu był długi i kilkakrotnie odniosłem wrażenie, że ktoś idzie za mną. Udałem się do komory celnej i od razu rozpoznałem dyżurnego oficera. Był on najgrubszym Arkończykiem, jakiego kiedykolwiek widziałem, i właśnie dlatego wybrałem go na ochotnika w pierwszym tygodniu moich występów. Łatwo się poddał hipnozie i bardzo mu się podobało. Po przedstawieniu poszedł do mnie za kulisy i uściśnął mi dłoń, czego Arkończycy po prostu nigdy nie robili. Zrobił to ponownie, jak tylko ujrzał mnie przy bramce. Obdarzył mnie też drugim uśmiechem, jaki kiedykolwiek udało mi się zobaczyć na arkońskiej twarzy. Miałem przed sobą fana.

- Panie Conroy, bardzo mi przykro z powodu kłopotów, jakie pan miał z władzami - powiedział. W mieście o powierzchni kilometra kwadratowego wieści rozprzestrzeniają się z prędkością światła, a plotki dotyczące piesków buffalito prawdopodobnie nawet szybciej. - Ale widzę, że udało się panu z tego wyplątać. Cieszę się, że to właśnie ja mogę zająć się pana odprawą. To pana pierwsza podróż kurierska, prawda?

Przeszukałem pokłady swej pamięci, używając tych samych mnemonicznych sztuczek, które pozwalały mi zapamiętać tysiące pojedynczych zwrotów hasłowych i odpowiadających im mediów hipnotycznych.

- Dziękuję, podejrzewam, że i ostatnia. Naprawdę jestem przecież hipnotyzerem. Pan Sergilo, prawda?

Uśmiechnął się promiennie, wyprostował się i wyprężył, zupełnie jakbym uczynił go ojcem chrzestnym Księcia Gibrachu.

- Tak, panie Conroy. Czuję się zaszczycony, że pan pamięta. No cóż, zajmijmy się pana odprawą. Zadam panu tylko kilka krótkich pytań i będzie mógł pan wejść na pokład swojego statku. Jest pan gotowy? Czy jest pan licencjonowanym kurierem? Czy wszedł pan w posiadanie tego pieska buffalito w sposób zgodny z prawem? Czy jest to jedyny piesek, którego pan przewozi? Proszę po prostu odpowiedzieć „tak” lub „nie”.

Na wszystkie trzy pytania odpowiedziałem „tak”. Arkończyk utrzymywał ze mną kontakt wzrokowy i przy każdej odpowiedzi kiwał głową, potwierdzając zgodność moich słów i myśli. Uśmiechnąłem się szeroko i zapytałem:

- Nie zapyta pan, czy to stworzenie zostało wysterylizowane?

Potrząsnął głową.

- Nie ma takiej potrzeby, panie Conroy. Ma pan samca.

- Jest pan w stanie to stwierdzić mimo gęstego futerka?

- To ten niebieski znaczek. Niebieski oznacza samców, czerwony - samiczki.

- Prosty system - powiedziałem.

Obejrzał moją wizę i zerknął na rozkład lotów.

- Pana statek odlatuje dopiero o pierwszej w nocy, ma więc pan mnóstwo czasu, żeby się urządzić w kabinie. Jestem tu na służbie do północy, gdyby czegoś pan potrzebował. A jeśli się nie zobaczymy, życzę panu miłej podróży do domu.

Kilka minut potem byłem w swojej kabinie na pokładzie dobrego statku „Bucefał”. Dzięki hojności pana Jensena i Konsorcjum Wada miałem teraz odbyć podróż nie w kabinie w klasie ekonomicznej, jaką podczas podróży na Gibrach dzieliłem z trzema innymi pasażerami, ale w bardziej obszernym jednoosobowym apartamencie, z którego z reguły korzystali kurierzy. Znajdował się w nim specjalny kojec z zabezpieczonym legowiskiem dla Reggie'go oraz konsola do regulacji ustawień atmosfery, aby zapobiec ewentualnym kłopotom, jakie wywołać mogły jego wdęcia.

Mój bagaż skonfiskowano, gdy władze zamknęły lokal „Pod Pieskiem”, lecz najwyraźniej oddano go, jak tylko zostałem zwolniony z aresztu. Jensen zadbał o to, aby go tu przywieziono i moje rzeczy zostały już umieszczone w kabinie. Reggie zadomowił się w swojej zagrodzie, pobekując radośnie, a ja położyłem się na tapczanie, żeby przemyśleć wydarzenia ostatnich godzin. Miałem stać się bogatszy niż miałem do tego prawo, choć prawdopodobnie cały czas byłem na czarnej liście i miałem zakaz występowania. Irytowało mnie to. Właśnie powiedziałem Arkończykowi, że nie miałem zamiaru pozostać kurierem - że jestem hipnotyzerem. Biorąc pod uwagę pięćset tysięcy kredytów za pieska, praca kuriera

była kusząca. „Ale”, zadawałem sobie pytanie, „co to za życie dla hipnotyzera?” Porównywałem w myślach wizję siebie jako kuriera i jako hipnotyzera. Zaświtał mi pewien pomysł. Był ryzykowny, ale jeśli uda mi się uniknąć egzekucji, pozwalał połączyć to, co w obu zawodach najlepsze.

Wstałem z tapczanu i sprawdziłem, co porabia Reggie. Zwinął się w kłębek na kocyku w swoim legowisku i zasnął. Wśliznąłem się do maleńkiej łazienki i spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Utworzyłem nowe hasło wyzwajające i przystąpiłem do realizacji swojego pomysłu.

Pół godziny przed północą opuściłem „Bucefała” i szybkim krokiem udałem się do najbliższej zarejestrowanej stacji transferu piesków. Znajdowała się zaledwie o przecznicę od portu kosmicznego i była większa od tej, którą poprzednio odwiedziłem. Przypominała ogromny magazyn piesków buffalito, pełen śpieszących się ludzi i Arkończyków. Staralem się, żeby nie wyglądać na zdenerwowanego i uznałem, że wszystko powinno pójść dobrze, o ile nie będę kłamał. Przy wejściu okazałem swoje dokumenty, potwierdziłem, że jestem kurierem i wszedłem do środka. Miałem mało czasu i nie byłem zbyt wybredny. Były tam dziesiątki mniejszych zagród; w każdej znajdowały się pieski dobrane pod względem wielkości, wagi, koloru języka itd. Odszukałem pieska, który był mniej więcej tej samej wielkości, co Reggie, wyłowilem go z zagrody i wręczyłem wolnemu Arkończykowi po drugiej stronie sali.

- Czy jest pan kurierem? - zapytał a ja skinąłem głową na potwierdzenie.

- To jest piesek buffalito, którego pan wybrał? - ponownie skinąłem głową.

- W porządku, zajmę się nim.

Z wyrazem profesjonalnego znużenia na twarzy machnął skanerem medycznym, spojrzał na odczyt i obrócił się ponownie w moją stronę.

- Świetnie pan wybrał - powiedział. - Jest zupełnie zdrowa. Zaraz podam jej środek sterylizujący i będzie mógł ją pan zabrać.

- Samiczka? - powiedziałem, starając się z całych sił, aby wyglądać na zawiedzionego. - Przepraszam, chciałem samca. Dzisiaj jest piątek, pechowy dzień dla samiczek.

Arkończyk odprawił mnie wzruszeniem ramion. Zapewne zetknął się z dużo bardziej dziwnymi przesadami kurierów. Nawet mnie nie zaszczylił ponownym spojrzeniem, gdy odnosiłem pieska z powrotem w stronę zagród, miał mnóstwo innej pracy do zrobienia. Przeszedłem obok zagród, ale nie zatrzymałem się, żeby wymienić samiczkę. Zamiast tego skierowałem się w stronę wyjścia, starając się iść naturalnym, nieśpiesznym krokiem. Nikt mnie nie zatrzymał i bez problemu znalazłem się z powrotem na ulicy. Byłem teraz przemytnikiem.

Nigdy jeszcze przejście odległości jednej przecznicy nie dłużyło mi się tak, jak w drodze powrotnej do portu. Wrażenie, że ktoś mnie śledzi, wróciło, a gdy skręciłem w bok, kątem

oka dostrzegłem dwóch Arkończyków. Hasło wyzwajające przemknęło mi przez myśl, ale było za wcześnie, by go użyć. Aż do północy było bezużyteczne. Zamiast tego z kieszeni wyjąłem czerwony znaczek i przymocowałem go do lewego ucha pieska. Zgodnie z informacją na znaczku, psinka była teraz Carlą Espinozą. Wszedłem na teren portu, zboczyłem do małego pubu wyposażonego w skomplikowany system wentylacyjny i zająłem miejsce przy barze. Większość klientów stanowili kurierzy; każdy miał buffalika zatkniętego pod pachą. Kurierzy często wstępowali na drinka przed odjazdem na Ziemię. Trzeba przyznać, że dzięki swoim telepatycznym zdolnościom Arkończycy byli w stanie przeprowadzać odprawy celne sprawnie i szybko. Wszyscy mogliśmy zostać odprawieni w czasie krótszym niż dziesięć minut. No, może nie wszyscy. Nie minęła jeszcze północ i Sergilo, mój gruby arkoński przyjaciel, był jeszcze na służbie i na pewno by mnie rozpoznał. Zamówiłem superdrogie piwo na koszt Konsorcjum Wada i usiadłem zamierzając dla pewności odczekać jakieś pół godziny. Byłem przy drugim piwie, gdy czterech Arkończyków weszło do pubu. Jednym z nich był Loyoka.

- Odłóż pieska i odejdz od baru!

W pomieszczeniu byli inni kurierzy, ale żaden z nich nie okazał zaniepokojenia. Stojący przy barze odkładali swoje pieski i odchodzili od kontuaru trzymając ręce na widoku. Zrobiłem to samo, a żeby Carla Espinoza nie marudziła, wsunąłem jej pod wełnistą bródkę miseczkę z orzeszkami ziemnymi. To było to. „Spumoni Heimdahl”, szepnąłem sam do siebie nazwę bakaliowego deseru lodowego. Mrugnąłem oczami i omal nie straciłem równowagi. Coś się stało, chociaż nie byłem pewien co.

Ignorując innych kurierów, Loyoka podszedł do mnie.

- Powiedziałem, że będę mieć pana na oku, panie Conroy. Czy to pana piesek buffalito?

- Tak - powiedziałem. Nie spuszczał ze mnie wzroku. - Chociaż technicznie rzecz biorąc należy do Konsorcjum Wada. Ja jestem tylko kurierem.

- Tego samego Konsorcjum Wada, dla którego do niedawno pracował kurier, który okazał się przemytnikiem? Czy nie sądzi pan, panie Conroy, że to dziwny zbieg okoliczności?

- Wcale nie - powiedziałem. - Tamten kurier został stracony. Konsorcjum potrzebowało nowego kuriera od zaraz, a ja byłem dostępny. Nie ma mowy o zbiegu okoliczności.

Przecisnął się obok mnie aż do samego baru i podniósł mojego pieska buffalito, żeby obejrzeć jego znaczek. Carla Espinoza zabczała zdezorientowana, gdy odciągnął ją od jej miseczki z orzeszkami.

- A to jest Carla Espinoza? - oczy zwięziły mu się w szparki.

- Tak - powiedziałem patrząc na niego ze zdziwieniem.

- To jest kobieta, którą wziął pan na scenę podczas wczorajszego przedstawienia?

Roześmiałem się.

- Nie, to jest piesek buffalito. Wybrałem go w jednej z waszych stacji transferowych. Nazwałem go imieniem tamtej kobiety.

Wtedy mruknął coś i wepchnął mi pieska w pod ramię.

- W takim razie dopilnujmy, żeby pan bezpiecznie przeszedł przez odprawę, panie Conroy. Nie chciałbym, żeby spóźnił się pan na statek.

Skinał głową do pozostałych Arkończyków, którzy ustawili się po moich bokach i z tyłu, i razem pomaszzerowaliśmy do odprawy celnej.

Było już po północy i celnikiem była atrakcyjna Arkonka niskiego wzrostu, o niemal ludzkim wyglądzie. Przyszło mi na myśl imię Sergilo, ale nie wiedziałem dlaczego. Byłem całkiem pewien, że jej wcześniej nie spotkałem; nie *wszyscy* Arkończycy przychodzili na moje przedstawienia. Kiedy przyszła moja kolej, wręczyłem jej moją licencję kurierską.

Rzuciła wzrokiem na nią, na mnie, a następnie na Loyokę i jego przyjaciół. Loyoka stanął obok niej, żeby mnie lepiej widzieć.

- Panie Conroy - powiedziała odczytując moje nazwisko z licencji - zadam panu trzy pytania. Proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Czy jest pan licencjonowanym kurierem? Czy wszedł pan w posiadanie tego pieska buffalito w sposób zgodny z prawem? Czy jest to jedyny piesek, którego pan przewozi?

- Tak, jestem licencjonowanym kurierem. Tak, wszedłem w posiadanie tego pieska buffalito w sposób zgodny z przepisami i tak, to jedyny piesek, którego przewożę.

Loyoka wlepił we mnie wzrok. Na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie i bezgraniczne zdumienie. Celniczka skinęła głową i machnęła ręką na znak, żebym przeszedł, ale Loyoka zatrzymał mnie, gdy chciałem przejść koło niego. Położywszy mi rękę na ramieniu, zawrócił mnie do siebie.

- Będzie pan łaskaw odpowiedzieć na jedno dodatkowe pytanie, panie Conroy - rzekł. Wpijał się wzrokiem w moje oczy. - Czy jest pan przemytnikiem, panie Conroy? Tak czy nie?

Odepchnąłem jego rękę z rozdrażnieniem.

- Już mnie pan o to pytał. Nie jestem przemytnikiem.

Zamrugnął oczami i popatrzył na towarzyszących mu Arkończyków. Wszyscy trzej pokręcili lekko głowami i Loyoka ponownie skierował swoją uwagę na mnie.

- Przepraszam, panie Conroy. Chyba źle pana oceniłem. Nie chciałem pana urazić.

- W porządku, wykonywał pan tylko swoją pracę. No dobrze, skończyliśmy już?
- Najzupełniej. Życzymy bezpiecznej podróży, panie Conroy.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł wraz z pozostałymi trzema Arkończykami. Celniczka spojrzała na mnie z zakłopotaniem i dała znak ręką następnej osobie w kolejce. Odwróciłem się i, trzymając pod pachą Carlę Espinozę, wszedłem na statek.

Udałem się do przydzielonej mi kabiny i wszedłem do środka. Początkowo odniosłem wrażenie, że znajduję się w niewłaściwym miejscu, albo że przez pomyłkę jakiś inny kurier zajął moją kabinę. Z jakiejś przyczyny w pomieszczeniu był już piesek buffalito, przymocowany pasem zabezpieczającym do legowiska w prowizorycznej zagrodce. Odwróciłem się, aby wyjść i ujrzałem wykonaną ręcznie tabliczkę, której wcześniej nie mogłem zobaczyć, bo przymocowana była do drzwi od środka. Napisany dużymi literami napis głosił: „SPUMONI HEIMDAHL”. Mrugnąłem, poczułem lekki zawrót głowy i uświadomiłem sobie, że mimo wszystko jestem we właściwej kabinie. Zamknąłem drzwi na klucz i podszedłem do konsoli, aby zmienić ustawienia atmosfery w kabinie.

Wiele godzin później, na długo po tym jak „Bucefał” wyruszył w stronę Ziemi, jedna z gibrahlskich stacji transferu piesków buffalito odkryła brak jednego zwierzaka. Reggie i Carla żyją ze sobą zgodnie, z entuzjazmem czyniąc wysiłki, aby przyszedł na świat pierwszy poza Gibrahlem miot szceniąt. Dla kuriera Reggie wart jest pięćset tysięcy. Dla przemytnika wywiezienie dodatkowego buffalika warte jest dziesięć milionów. Ale ja jestem hipnotyzerem i właśnie zmierzam na Ziemię z pierwszą zdolną do rozrodu samiczką pieska buffalito, która wkrótce będzie szczenna. Mogę chyba sam ustalić cenę. W show biznesie tak to już jest.

Koniec